

4

Krapowska Ci, których zmatam

DR. NINA KRAKOWSKA

CI, KTÓRYCH ZNAŁAM

(Szkice z życia żydowskiego w Rosji carskiej
i rewolucyjnej)

W A R S Z A W A 1935.

DR. NINA KRAKOWSKA

CI, KTÓRYCH ZNAŁAM

(Szkice z życia żydowskiego w Rosji carskiej
i rewolucyjnej)

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

W A R S Z A W A 1935



22.144

Z chlebem do głodnych.

Zemdlałam kiedyś na ulicy, — rzecz prosta — z głodu. Takie zdarzenia były wtenczas w Kijowie na porządku dziennym. Działo się to na początku roku 1922-go, za czasów bolszewickich. Zima była niesłychanie ostra, dowóz produktów był utrudniony — głodowaliśmy...

Na moją praktykę lekarską chodziłam z koszykiem ręcznym od pacjenta do pacjenta. Lekarzom płacono nie pieniędzmi, za które i tak było trudno coś kupić, tylko ziemniakami, grochem, kaszą jaglaną; czem kto miał... Czasem dostawało się parę jaj, kawałek mięsa lub słoniny, — to już było bardzo wysokie honorarium. Nieraz się też zdarzało, że po całodziennej wędrowce od chorego do chorego, nie dostawało się nic, bo w mieście nie było produktów... To samo słyszało się w każdym domu:

— Pani doktor wybaczy, — jutro, pojutrze, odeśle się pani co się należy...

A pani doktor wracała z pustym koszykiem do głodnej rodziny, czekającej cierpliwie wieczora, w nadziei posiłku.

— Pani doktor poczeka... jutro... pojutrze... — słyszałam wszędzie tego pamiętnego dnia, w którym zdarzył się ów wypadek.

Zemdlałam na ulicy, wracając do domu, — i leżałam nieprzytomna na śniegu, aż mnie zabrali jacyś przypadkowi przechodnie, wnieśli do najbliższej klatki schodowej i jakoś tam cucili.

Gdym się ocknęła, pierwszą moją troską było, czy niema tu nikogo ze znajomych? Wiem, że się każdy domyślał przyczyny zemdlenia, jednak wstydziłam się spojrzeń pełnych litości... bałam się, że zafiarują mi lub przysła dar z dobrego serca — jałmużnę...

Ale wokoło były same niezajome twarze, obce oczy patrzyły na mnie z politowaniem, ze zgrozą, z buntem w ponurych spojrzeniach...

Wróciłam do domu o zmierzchu. Dwie pary oczu spojrzały na mnie, boleśnie zatroskane — oczy dziecka dwunastoletniego i starej kobiety... Dwie pary oczu ujrzały pusty koszyk... zmartwiałe spojrzenia utkwniono w mej twarzy...

— Trudno... kładźmy się spać!... Jutro obiecano mi na pewno...

— Mamo, — czy zrana?

— Nie wiem, synku... postaram się zrana!...

I zasnęli... zasnęli oboje, dziecko i stara kobieta... I oboje jęczyli we śnie... żałośnie... boleśnie...

Późną już nocą, ktoś niespodzianie zapukał cichutko do drzwi... Ścisnęło się serce...

Czekiści!... Rewizja!... może areszt... śmierć... Bo któżby inny pukał w nocy? Wszak po godzinie ósmej wieczór aż do szóstej rano — nie wolno było nikomu wychodzić na ulicę pod groźbą rozstrzelania na miejscu... Tylko czekici i patrole bolszewickie krążyły po ciemnych i pustych ulicach...

Miałam troszkę oliwy na spodeczku, a w niej ze szmatki zrobiony knocik. Przy jego słabem światełku, zdołałam otworzyć drzwi, — i wpuściłam do sieni dziwnego gościa... Była to wysoka kobieta w średnim wieku, o wybitnie żydowskich rysach, wprawdzie w chustce na głowie, ale w bardzo porządnym płaszczu, który z przodu od góry do dołu cały był uwalany w brudnym śniegu i błocie... Cały przód i rękawy. Kobieta z trudem trzymała się na nogach, — w oczach świeciło przerażenie... Wprowadziłam ją do pokoju. Usiadła ciężko na najbliższym krześle i odetchnęła głęboko...

— Och dzięki Bogu, że znalazłam panią, — wyszeptęła zadyszana, zalęknionym głosem.

Przyglądałam się jej bacznie — nieznamoma...

Drżącymi rękoma strzepuje śnieg z płaszcza, wyciąga z za poły pakunek i podaje mi go...

— Oto przyniosłam dla pani chleba i słoniny... Jedzcie sobie zdrowo!

Och, nigdy nie zapomnę, jak na dźwięk tych słów, uniosły się z poduszek dwie głowy, — dotąd przywarte cicho do poduszek w zrozumiałym przestרחu, jak błyszczały radością dwie pary głodnych oczu — dziecka i starej, znękaney kobiety, jak nie mogły oderwać od pakunku niecierpliwego spojrzenia!...

A ja się nawet nie cieszyłam, choć nie mniej byłam głodna, — w przekonaniu, że to wszystko mi się śni pod wpływem głodnych myśli... W dobre wróżki nikt nie wierzył za bolszewickich czasów!

Spytałam jednak:

— Skąd pani?... w jaki sposób?...

— Och, widziałam ja dzisiaj, jak pani zemdlęła na Proreznej... Ludzie tam panią poznali, mówili, że to doktorka... Och, Boże, mój Boże!... Mnie tak żal było!... Poszłam za panią zdaleka, wyszłedziłam, gdzie pani mieszka... Przyszłam do domu, myśląc, że coś tam znajdę do zjedzenia, aby pani przynieść. Przypuszczałam, że mąż coś zarobił, lub że dzieci coś pozamieniały... A tu nic... Mają tro-

chę kaszy i grochu, ale to trzeba ugotować, a nie było nawet czasu... Wzięłam więc jedną poduszkę i jeszcze gorset jedwabny — i pobiegłam szukać słoniny... My tego nie jemy, więc niebardzo wiedziałam, gdzie szukać, a pora już była późna. Przychodzę do domu z chlebem i słoniną, — dzięki Bogu, sporo tego dali — a tu ósma godzina, — z domu już wychodzić nie wolno...

Trzeba czekać do jutra... A ja nie mogę i nie mogę! Położyliśmy się spać, — a ja tylko bezustannie myślę, czy też tam doktorka śpi, bo może z głodu usnąć nie może, a to jest straszna męka... A może ma małe dzieci, co jej tam z głodu płaczą... a może matkę-staruszkę!... Powiedziałam dzieciom, że nie będę czekała rana, tylko w nocy zaniosę... Bo to nawet grzech jest, by tu leżał chleb na próżno, gdy tam ludzie cierpią głód... I poszłam...

— Ale jakżeż panią puściły patrole? Przecież nie wolno!

— Oho... i jeszcze jak niewolno! To też doczekałam się późniejszej pory, bo to dzisiaj straszny mróz, więc patrole, jak dobrze wymarzną, to już rzadziej chodzą...

— A jednak naraziła się pani na straszliwe niebezpieczeństwo.

— Wiem... Tylko myślałam sobie, że jak z chlebem idę do głodnych, to już mnie Bóg zdrowo doprowadzi. Ale iść zwyczajnie bałam się, więc położyłam się na brzuchu i czołgałam popod domami i płotami, a jak gdzie dosłyszałam, że patrol idzie, — bo oni głośno chodzą i zdaleka ich słyszać, — to przituliałam się do muru i nikt mnie nie widział, choć tu obok przechodzili... bo też ciemne teraz ulice, że ja sobie nawet wyobrazić nie mogłam, że taka ciemność, tak całkiem czarna, może być na świecie! Latarnie się nie palą, w oknach nigdzie ani światełka. — Tak się przedostałam, czołgając się na brzuchu, jak jaszczurka... Ale też bez przyzwyczajenia, — to dość trudno było... Ale Bóg miłosierny, doprowadził do celu! Jedzcie sobie zdrowo!

Tak mi opowiedziała w prostych słowach, i jeszcze się zdobyła na uśmiech zadowolenia, patrząc na to, jak mój mały zajada chciwie chleb ze słoniną, i jak mu błyszczą radośnie, — przy nikłym światełku knocika w oliwie, — czarne, wesołe oczęta na wychudłej twarzy...

— Synek? — spytała serdecznie, dotknęła ręką pieśczołtliwie jasnych włosów i — zaczęła się żegnać...

Chciałam ją zatrzymać do rana u siebie, żeby się powtórnie nie narażała na groźne niebezpieczeństwo spotkania się z patrolami i na mękę czołgania się na brzuchu po brudnym śniegu i zlodowaciałej ziemi... Ale nie dała się namówić... Żal jej było swojej rodziny..., męża..., dzieci...

— Bo tak płakali, jak wychodziłam, tak żegnali, jak na

śmierć... tak się o mnie bardzo bali... Teraz pewnie też nie śpią, tylko siedzą i czekają... może i płaczą... bo cóż?... Matka to zawsze matka!... A tu tak: Bóg — Bogiem, ale bolszewik — bolszewikiem — nie usłuchasz rozkazów — kulą w łeb!... To się i boję... Muszę iść prędko, żeby się już uspokoił... Mąż „tales” wkładał, kiedy wychodziłam, miał się cały czas modlić... Zostańcie z Bogiem!...

I poszła — w groźne mroki czarnej ulicy na łaskę i niełaskę losu...

Punktualnie o szóstej rano wyszłam z domu poszukać śladów — przekonać się, czy nieznajoma Żydówka żywa wróciła do domu, czy też jej serce litościwie bić przestało, ugodzone kulą bolszewicką — za to, że głodnym ludziom chleb zaniosiła... o zakazanej porze..

Nie wiedziałam, jak się nazywa, gdzie mieszka... Ale wyraźny ślad na śniegu, wytarty czołgającym się ciałem ludzkim, bez trudu doprowadził mnie do jej domu... Nie było to daleko, — ale zawsze kilka ulic, kilka zakrętów, kilka przejść przez jezdnię... w paru miejscach krzyżowały się z tym śladem, — jak po olbrzymim jakimś wężu, — ślady licznych butów żołnierskich... przechodziły tędy patrole...

Przy jednej z bram tragiczny szlak się kończył, — były ślady trzewików damskich, — znać stanęła na nogi... — na kratkach furtyki znać ślady palców — musiała się tych krat uchwycić, by się dźwignąć z ziemi. Ktoś pewnie czekał za bramą i szybko otworzył...

Weszłam na podwórze — za furtką śnieg, bardzo wydeptany, potem ślady dwu par obuwia — kobiece, te same, co przed bramą i męskie, — „prowadzą” w głąb podwórka... Ale klatka schodowa cała zaśnieżona, zdeptana — a kamienica duża... Nazwiska nie wiedziałam; — zapytywać ludzi nie śmiałam...

Nigdy już jej więcej nie spotkałam, choć nieraz krążyłam koło tego domu... Jedno wiem napewno, — wróciła wtenczas żywa.



Ż y d ó w k a.

I.

Nazwiska tej Żydówki zapomniałam, — takie sobie zwyczajne żydowskie nazwisko, — niedziw, że się zatarło w zmęczonej pamięci...

A wtedy — na myśl nie wpadło, by je zanotować, — bo wtedy... wtedy zdawało mi się, że takie imiona same tkwią w mózgu...

Et! I głośniejsze nazwiska i jaskrawsze zasługi w niepamięć poszły, — a ona... cóż ona wielkiego zrobiła? Nic, — tylko to, co jej serce kazało!...

A było to tak:

Armja generała Denikina cofnęła się z Kijowa na lewy brzeg Dniepru — pod naciskiem bolszewików, lub też ze strachu przed bolszewikami — lecz zostały pojedyncze, niezorganizowane garstki oficerów, pełnych poświęcenia i niezłomnej odwagi, które samoczynnie toczyły walkę z bolszewickimi oddziałami, kiedy oddziały te gdzieś już zajęły krańce miasta i dobijały do ulic śródmieścia.

Na rogu ulic Lwowskiej i Woźniesieńskiej zaczęła się taka grupka oficerów, odpierając od czasu do czasu ciągłe ataki bolszewików... Nagle tuż koło nich upadł i pękł pocisk, raniąc lekko dwóch-trzech przechodniów i kalecząc ciężko jednego z oficerów...

W domu narożnym była apteka. Do niej koledzy-oficerowie wnieśli rannego, i z całego domu zbiegły się panie, by nieść pomoc i opiekę obrońcy miasta...

Znalazł się i lekarz, rany opatrzył, — należało przewieźć poszwankowanego do szpitala... Lecz on wznosił gorący protest do kolegów i, płacząc, błagał, by go tam nie przewozić...

— Lepiej dobiejcie mnie zaraz — krzyczał w rozpacz.

W duchu każdy przyznawał mu słusność: wiedzieli wszyscy, że najdalej za kilka godzin miasto będzie zajęte przez bolszewików — a wtenczas szpitale i lazarety staną się pułapkami; każda świeża rana będzie dla bolszewików dowodem, że mają w rękach swego wroga „kontrewolucjonistę” — i ściągnie nieludzkie katusze na bezbronną ofiarę.

Setki rannych w szpitalach, owładniętych przez bolszewików, w niesłychanych torturach kończyły życie.

Wiedzieli o tem wszyscy — lecz któżby się odważył wziąć do swego mieszkania takiego rannego? Wszak wielokrotne doświadczenia już przekonały kijowiaków, że bolszewicy, wpadłszy do miasta, przedewszystkiem rozpoczynają gremjalne rewizje w domach prywatnych i, jeśli znajdą gdzieś rannego oficera, rozstrzelują całe rodziny, wszystkich domowników, nie szczędząc dzieci, ani starców. Otóż i te panie, co przybiegły z pomocą rannemu bohaterowi, zażenowane, przygnębione, jedna po drugiej, chyłkiem zaczęły wymykać się z apteki, odwracając oczy od leżącego na ławce oficera, — a ten odprowadzał je spojrzeniem, pełnym bezsilnej rozpacz, i wołał:

— Zabijcie mnie! zastrzelcie!... Ja się boję!... Może oni już blisko... bolszewicy... Ja się boję!... Ja nie chcę dostać się w ich ręce... na męczarnie! Zlitujcie się, koledzy, dobijcie mnie!...

Aptekarz również przynaglał oficerów, by prędzej zabrali rannego; zmiana sytuacji mogła nastąpić lada chwila... on się bał również... Szeptem naradzali się oficerowie... ranny i im krępował ręce. Jeden z nich zbliżył się do niego z miną posępną i zdecydowaną...

— Innego wyjścia niema! — rzekł — trzeba do szpitala!

Ranny uniósł się wzburzony i zaczął zrywać bandażę...

— Zabijcie zaraz! — błagał zrozpaczony. — Odrazu zabijcie!... Nie wydajcie na mękę...

A tamci stali posępni, bladzi, ponuro patrząc przed siebie, — by się nie spotkać ze spojrzeniem towarzysza... Nie próbowali nawet zatrzymać jego rąk, zrywających bandażę.

— Oj, ja nie mogę!... Oj, już nie mogę dłużej!... — wstrząsnął ponurą ciszę krzyk kobiecy, i jakaś niemłoda Żydówka z rzewnym płaczem rzuciła się do oficera. — Nie zrywaj pan bandażę, panie oficerze!... Nie szkodź pan sobie! Ja pana nie dam do szpitala!... Do siebie pana wezmę... przebierzemy pana... Jeżeli przyjdą... bolszewicy.. powiem, że to przygodnego przechodnia trafiło... niech się pan nie boi! Już ja pana schowam u siebie!...

Ranny bez słowa podniósł ku niej oczy, dziękując spojrzeniem, — westchnął z ulgą... i stracił przytomność, — przez białą gazę bandażę sączyła się krew.

Żydówka rozejrzała się dookoła.

— Panowie! kto pomoże przenieść go do mnie?

Kilku z obecnych zbliżyło się spiesźnie, wzięli rannego razem z ławką i ponieśli z apteki... Oficerowie, niepewni, nieufni, trwożliwemi oczyma śledzili nosze, szepcząc między sobą:

— Kto ją tam wie?... Żydówka... Może poto właśnie wię-

ła do siebie, żeby potem wydać bolszewikom... zasłużyć się... bo i z jakiej racji?... Ryzykuje przecież... Ale... skąd ona się tu wzięła?

Dosłyszawszy te szepty, wtrącił się aptekarz:

— Zapewniam panów, że niema obawy... ja ją znam... to dobra kobieta i nikogo nie skrzywdzi... obserwowałem ją przez cały czas... Przybiegła tu razem z innymi paniami, tylko się zbliżyć nie śmiała... Żydówka bowiem... Stała tam oto w kąciку i tak gorzko płakała... A potem kiedy panie zaczęły wychodzić, ręce łamała, — widać było, że chce coś powiedzieć, a nie śmie... bo trzeba panom wiedzieć, że jak kto jest Żydem, to on zawsze jest w obawie, że co od niego pochodzi — choćby najszlachetniejszy jakiś czyn, zawsze może natrafić na nieufność... I to, proszę panów, bardzo boleśnie obraża... Jednak, widocznie, serce zwyciężyło... Bo to naprawdę położenie pana oficera — rzecz można — beznadziejne.

Na podwórzu prezes komitetu domowego zatrzymał Żydówkę, idącą za noszami oficera.

— Szalona kobieto! czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co czyni?... Przecież, gdy jego u was znajdą, to wszyscy zginiecie.

Żydówka zalała się łzami:

— Cóż miałam robić, panie prezesie?... Co miałam robić? Porzucić człowieka bez ratunku nie można!... Nie przeżyłabym tego!

— Niechże się pani zastanowi, — perswadował prezes, — cały dom widzi... mogą donieść bolszewikom... czy to przez złość, czy żeby się przysłużyć nowej władzy... Dom olbrzymi... Ludzie różni... Nie bez tego, że i bolszewik się znajdzie... Zdradzą was, i nie tylko siebie, ale i męża i dzieci na śmierć pani narażą...

Żydówka wzniosła czarne oczy ku niebu, — łzy na nich jakoś wyschły odrazu.

— Jak Pan Bóg da! — odrzekła i śpiesznym krokiem poszła do domu.

II.

Bolszewicy nienadługo i niecałkiem owładnęli Kijowem. Ale wszystkich rannych, którym nie udało się uciec ze szpitali, schwyta-
li i męczęńską im zadali śmierć. Ulica Lwowska była w ich posiadaniu niespełna dwa dni, więc rewizyj gremjalnych nie było, i ranny oficer, przygarnięty przez Żydówkę, uniknął złej doli swych towarzyszy. Ja się z nią później poznałam — może w miesiąc albo i później po tym napadzie bolszewickim.

A stało się to tak:

Kiedy przewaga w bitwach na ulicach Kijowa już bardzo wi-

docznie była po stronie bolszewików, i samotne oddziały bohater-
skich obrońców miasta ginęły, lub się rozpraszały, — robotnicy
zwartą masą chwycili za broń i niespodzianie nadali walce inny
obrót.

Bolszewicy cofnęli się w nieładzie, — okazało się potem, że
niewiele ich też i było. Piątego października, w piąty dzień bojów
ulicznych, armja Denikina znów triumfalnie wkroczyła do miasta
z lewego brzegu Dniepru...

I tegoż dnia wieczorem wydały władze denikińskie odezwę
do ludności, głoszącą, że „pierwszego października nasze wojska,
pod naciskiem podstępnych a wrogich nam wystąpień ludności
żydowskiej, zmuszone były cofnąć się za Dniepr”, i wzywająca lud-
ność do energiczniejszej walki ze zbrodniczą „kramolą żydowską”.

Gazeta „Ognie wieczorne” podała nawet nazwiska i dokład-
ne adresy tych rodzin, które „czynnie wystąpiły przeciwko armji
ochotniczej”, tych, którzy, rzekomo, strzelali doń z karabinów ma-
szynowych, ustawionych na balkonach i strychach, lali z okien
wodę wrzącą i kwas siarkowy na przechodzące wojska.

I wnet wybuchły okrutne, niepohamowane pogromy...

Coprawda, nazajutrz dzienniki innego kierunku doniosły, iż
po nader skrupulatnem sprawdzeniu, okazało się, że w s z y s t k i e
b e z w y j ą t k ó w podane w „Ogniach Wieczornych” fakty były
zmyślane, — ale przecież każdy wierzył tylko temu, czemu chciał
wierzyć, zaś prasa prawicowa codzień ogłaszała dziesiątki coraz
to innych nazwisk i adresów „wrogów ojczyzny”, z perfidnemi
opisami zbrodniczych czynów, i codzień padały setki nowych ofiar,
okrutnie mordowanych, kaleczonych i dręczonych.

Napróżno „Liga Walki z ntysemityzmem przy Związku
Miast” czyniła rozpaczliwe wysiłki, obalając oszczerstwa... Na-
próżno jej członkowie, — nie osoby prywatne, lecz wyłącznie de-
legowane przez instytucje społeczne, biorące na siebie całkowitą
odpowiedzialność za wystąpienia swoich delegatów, — osobiście
spieszyli pod wszystkie wskazane adresy i, po oficjalnie przeprowa-
dzonem śledztwie, donosili, że w rzeczywistości, a n i j e d e n
z f a k t ó w przytoczonych przez prasę prawicową, n i e miał
miejsca... Kto nie chciał wierzyć, ten nie wierzył, — pogromy
trwały dalej, dzikie, niesamowite, przechodzące pojęcie ludzkie...
Taż sama Liga musiała zająć się rejestracją gwałtów, czynionych
przez wojsko na bezbronnej ludności żydowskiej... Tuszyli, że gdy
wiadomość o wypadkach, podpisana przez zasłużonych i wiary-
godnych działaczy społecznych, dojdzie do Denikina, wódz potrafi
położyć kres gwałtom...

Zawiedliśmy się gorzko... Przyszła chwila, kiedyśmy ze zgro-
zą zrozumieli całą czczość naszych wysiłków... ale wtedy, na po-

czątku, wierzyliśmy szczerze i robiliśmy, co było w naszej mocy...

Otóż, zbierając materiały, natrafiliśmy we dwoje, — ja z drugim jeszcze członkiem Ligi, — na ten sam dom, gdzie się ukrył ranny oficer w rodzinie żydowskiej.

Zaczynamy śledztwo. Materiał nie tak obfity, jakby się można było spodziewać: Ucho odsiekli chłopcu u fryzjera, — ot, tak sobie, przez kpiny, — obili jednego doktora, obrabowali drugiego, jeszcze krawca poturbowali i zbili bez litości pode drzwiami jego mieszkania, a żonę jego ciężarną, posiekli szablami... Idziemy do tego krawca po bliższe dane o wypadku.

Zawiedliśmy się gorzko... Przyszła chwila, kiedyśmy ze zgrobrazek z żurnalu mód... Bezimienny szyld krawca...

Dzwonimy, pukamy, — nikt się nie odzywa; albo niema w domu gospodarzy, albo też poprostu boją się otworzyć...

Próbujemy zadzwonić do sąsiedniego mieszkania, — może tam się czegoś dowiemy... Tam też otworzono nie bez wahania, ale gdy zobaczyli kobietę i „cywila” — proszą wejść...

W dużym pokoju, do którego, śnać na nasz dzwonek, zesła się cała rodzina, rzucił mi się w oczy dziwny widok: na szerokiej otomanie w jednym rogu, na kocu, złożonym we czworo, leżało dziecko, może 10 dni liczące, małe, w pieluszki spowite, i przechyliwszy na bok główkę, ciągnęło z trudem mleko z buteleczki; zaś w drugim rogu na skórzanej poduszce ulokowała się niewielka czarna suczka, którą wesoło i chciwie sały małeńkie szczenięta...

Stanęłam przed tą otomaną z uczuciem jakiejś niewyraźnej, nieokreślonej twogi...

— Proszę spojrzeć, — rzekłam do mego towarzysza, — jakie to dziwne!

— O tak! — odpowiedział — szczeniętom widać łatwiej o żywienie się, niż ludzkiemu maleństwu... A wołałoby i ono nie z buteleczki ciągnąć...

Żyd siwobrody o pięknej i poważnej twarzy, w okrągłych okularach, siedział schylony nad pracą na zydelku koło okna. Kamasz jakiś wykańczał... Obejrzał się przy naszych słowach, pokiwał głową z bolesnym uśmiechem, potem, wstawszy ze swego zydelka, podszedł do nas bliżej, w twarze gościom zajrzał badawczo i wyrzekł poważnie i ciężko:

— O tak! To warte uwagi: matka psia — to ona może sama karmić swoje dzieci, a matka żydowska — musi porzucić dziecko na obce ręce... bo leży w szpitalu z porąbaną piersią i — zamiast mleka — ma w piersiach ropę...

Zrozumieliśmy... Spojrzeliśmy po sobie... I mój towarzysz, maskując piekący wstyd, który nas nieustannie prześladował przy

gorzkiej naszej pracy, otworzył tekę, wyjął papiery i przysiadł się do okrągłego stołu...

— Opowiedz mi pan, jak to było, — poprosił starego.

Tamten usiadł przy stole naprzeciw gościa, — córka, urodziwa, spokojna kobieta, ze 30 lat licząca i zięć, nerwowy, chudy Żyd o oczach wystraszonych, stanęli za jego krzesłem... Reszta rodziny, zalekniona, przycichła, cisnęła się dalej przy drzwiach...

Starzec zaczął opowieść:

— Przez pierwsze dni pogromów, od piątego do ósmego października, u nas było cicho: brama była zamknięta, i straż domowa stała, a my wszyscy, Żydzi, siedzieliśmy albo w domu, mocno drzwi zaryglowawszy, albo w piwnicach, na strychach, gdzie kto mógł... bo wie pan... w każdej chwili można było spodziewać się... wypadków... Z miasta telefonicznie i przez sąsiadów Rosjan dochodziły groźne nowiny.. pan więc rozumie, jaki był nastrój? Ale myśmy nigdzie nie poszli ze swego mieszkania, przeciwnie, jeszcześmy innych do siebie przyjęli, bo to, — wie pan, u nas przypadkowo jeden ranny oficer się znajdował, Rosjanin... Więc on nam powiedział, że jeżeli, nie daj Boże, do nas wtargną, to on nie da nam krzywdy zrobić... Naturalnie, orężem by nas nie bronił, bo bardzo był osłabiony, i przytem sam jeden. Ale przecież i słowem mógł nie dopuścić do rozlewu krwi... Pan wie napewno, że gdzie tylko ktokolwiek z Rosjan ujął się za Żydami, tam wszystko dobrze się kończyło... No, to on nas właśnie i obronił, kiedy pora przyszła... akurat nadzwyczajnie porządny człowiek się trafił. Ale myśmy na wszelki wypadek różne środki bezpieczeństwa obmyślili: drzwi od frontu zabarykadowaliśmy szafą, a nawet włożyliśmy do niej wszystko, co było w domu najcięższego, żeby w razie wyważenia drzwi, nie tak łatwo było ją odsunąć... Otóż niech pan sobie wyobrazi, 8-go października zrana już było bardzo niespokojnie: wtargnęli się do mieszkań, bili... myśmy tylko krzyki słyszeli z podwórza, ale wyjść, oczywiście, nie śmieli, nawet do okien nie doszli... ale krzyki było słyhać kilka razy, więc już było wiadomo, że napadają...

— A cóż wasz oficer? — przerwałam niecierpliwie — czemu nie wyszedł?

— Oficer?... — odparła kobieta pospiesznie, — och toż był taki wyjątkowo porządny człowiek! On tak cierpiał, tak bolał nad tem wszystkim! Ja państwu mówię, kiedy były te krzyki, on tak płakał, tak łkał... głową o ten oto stół tłukł!

— Jednak nie wyszedł do swoich i nie ujął się?

— Oj, państwo nie wiecie, — zaczęli mówić wszyscy troje, — on był jeszcze całkiem bez sił... a może też bał się, żeby na nas nieszczęścia nie ściągnąć... a my też nie śmieliśmy go prosić, bo

już były pogłoski i groźby, że jeżeli kto z Rosjan będzie stawał po stronie Żydów, to i z nim zrobią po swojemu...

— Groźby takie były rzeczywiście — odezwał się mój towarzysz, nie podnosząc oczu, — ale faktycznie, o ile mi wiadomo...

— No, i myśmy o tem wiedzieli... jakże tu było na takie stwierdziło, a w Fastowie jednak pobili popa za to, że po pogromach fastowskich niósł pomoc Żydom rannym i chorym na tyfus... bardzo ciężko pobili...

— To prawda, tak było — potwierdziłam.

— No tak! — przerwał starzec — w Kijowie to się nie ryzyko chorego człowieka narażać? Jednak, koniec końców, on i sam nie wytrzymał. Słuchajcie państwo, co się stało: właśnie 8-go października koło godziny 2-jej, słyszymy na podwórzu straszliwe krzyki, potem coraz bliżej, bliżej, potem tuż koło naszych drzwi... Wnuczek mój, — ten oto sam, — wylazł na szafę, którą myśmy drzwi zastawili w przedpokoju, — a tam w górze nade drzwiami jest szyba szklana, — to on stamtąd wszystko widział. Mówi do nas, że złapali oficerowie Żyda-krawca, naszego sąsiada, i biją go okropnie i ciągną do jego mieszkania, a on nie chce iść, aby oni z nim do mieszkania nie wtargnęli, i że to nie on krzyczy, tylko oni, — a on sobie ino ręką usta przyciska, żeby krzyku nie wydać... Bał się, widzicie, żeby żona nie usłyszała, bo była ona w ciąży... Młodziutka kobieta, zrozumcie państwo, — pierwsza ciąża, i przytem tuż — tuż miała być pora!... To też on tak powstrzymywał się, żeby nie krzyknąć, i usta swe ręką zatykał, a sam cały skrwawiony, i po twarzy krew cieknie, i odzież na szmaty podarta. A tu żona, na swoje nieszczęście, słyszy naturalnie, że krzyczą: „Żyd! Żyd!” Złękła się, czy to nie jej męża napadli, — otworzyła drzwi. Gdy zobaczyła, że męża biją, rzuciła się na ratunek... Krzyczy: „Nie bijcie go! Nie bijcie! To mój mąż!”... I na nią też napadli, bić zaczęli... Wówczas i mąż zaczął krzyczeć i płakać... i co się działo!... co się działo!... Oj!... Nasz oficer dłużej nie mógł wytrzymać, — krzyczy: „prędszej, prędszej szafę odsunąć! Drzwi otworzyć! Wypuśćcie mnie do nich!...” Ale to, wiecie państwo, zanim szafę się odsunęło, taką naładowaną, zanim drzwi otworzono, tam się już bieda stała... oni chcieli tę kobietę odciągnąć od męża, a ona go za szyję chwyciła, — i nie mogli jej oderwać... więc jeden oficer ją szablą w ramię rąbnął, powyżej łokcia... choć całkiem ręki nie od-rąbał, ale kość przebił... ona naturalnie puściła, krzyknęła okropnie, a oni ją zaczęli katować, bić, suknię rozdarli, a kiedy się obnażyły, wiecie państwo, piersi, to drugi oficer szablą jej lewą pierś rozsiekał... zaś trzeci oficer chciał męża przebić szablą za to, że gdy zobaczył, co z jego żoną robią, zaczął się strasznie rzucać, szarpać i przekieństwa na nich miotał... ale akurat w tej chwili

udało się nam drzwi otworzyć, i nasz oficer, Iwan Nikołajewicz, wybiegł i tamtego oficera za rękę chwycił... No, i zaczął do nich przemawiać, — i prosił, i groził, i płakał, i opowiedział, jak myśmy go do siebie przyjęli do mieszkania, kiedy go pocisk bolszewicki ciężko zranił, a on do szpitala bał się iść.

— A więc to ten sam! — zawołałam zdziwiona.

— A co takiego? Pani go zna? — spytała Żydówka.

— Nie, nie znam, ale słyszałam, że był taki wypadek...

— Był, rzeczywiście... tak się szczęśliwie złożyło, że ten oficer akurat tu był, boby inaczej i krawiec zginął i jego żona... I jeszcze wiele ofiar byłoby mogło... Bo to, — kiedy on swym kolegom, wszystko wytłumaczył... i trzeba prawdę przyznać, — bardzo pięknie o Żydach dał świadectwo, — to oni sobie zaraz poszli, i jemu przyrzekli, że w naszym domu więcej nikogo nie skrzywdzą... „Za innych... mówią, — ręczyć nie możemy, ale sami nie skrzydzimy”... I poszli...

— A potem co było?

— A potem... tu się zaczyna historia tego dzieciaka... Matka jego w krótkim czasie... no, nie mamy co się dziwić, że ona zachorowała... tylko wszyscy myśleli, że to nerwowa choroba... i to też bardzo naturalnie mogło być!... ale okazało się — zakażenie krwi, na skutek zabrudzenia rany... Państwo rozumiecie, — pomoc nie rychło przybyła... no więc zrobiła się gorączka, — i w tej gorączce ona porodziła... cud poprostu i łaska Boża, że dziecko ocalało!... Pierwsze dziecko, — synek, — to trzeba na rozum wziąć!... Ale matce zaczęła ropieć rana w lewej piersi, — powstało zapalenie... Co było robić!... musieli ją wziąć do szpitala... Przytomność straciła, zemdląła, kiedy ją wynosili... tak rozpaczła za dzieckiem... A myśmy je wzięli do siebie, po sąsiedzku, — państwo rozumiecie, — i oto córka moja je chowa i mleko mu przyrządza, jak tam trzeba... No i codziennie posyłamy ukłon do szpitala, że wszystko w porządku, że dziecko, chwalić Boga, zdrowe, i jak Pan Bóg pozwoli, wyżyje... Tylko okropnie, to bolesne patrzeć... oto ta psinka sama swoje małe karmi, — a takie maleństwo piersi matczynej od pierwszego dnia życia pozbawione, za to tylko, że jest żydowskie...

Drgnął i urwał się głos starego Żyda... córka jego odwróciła się, pochyliła się nad otomaną, a za krzesłem starego nerwowo zaszlochał zięć... Mój towarzysz, zachmurzony i posępny, z miną skupioną, spieszenie spisywał protokół...

— Jak nazwisko tego krawca? — spytał, nie podnosząc oczu od papieru...

— Nazwisko?... Ja wiem?...

Stary obejrzał się na córkę: —

— Ty nie pamiętasz, jak on się nazywa?...

Kobieta brwi ściągnęła, przypominając sobie...

— Jak on się nazywa?... skąd ja mam wiedzieć? tam na drzwiach nic nie pisze, tabliczki niema...

— A jakżeż wy go nazywacie?...

— Jak nazywamy?... krawiec, albo sąsiad, albo między sobą — to poprostu „on”... A panu trzeba to do protokołu?... to można się dowiedzieć w domowym Komitecie, — albo dozorca powie...

— Dobrze... a gdzież on jest, ten krawiec? — Rodzina w milczeniu spojrzała po sobie... wreszcie wyrzekła kobieta:

— No, państwu chyba można prawdę powiedzieć. Wy krzywdy nie zrobicie... Tylko w protokole tego pisać nie potrzeba! Państwu wiadomo, — teraz jest mobilizacja, — to i jego zawezwaliśmy też... Możecie państwo sobie wyobrazić, jak tam jest Żydowi, w tej denikińskiej armji!... I to po tem wszystkim, co tu się działo!... A w dodatku — wojsko sobie pójdzie, jego zabierze, a potem przyjdą bolszewicy, i będą się mścili na żonie za to, że jej mąż służy Denikinowi... więc waszem zdaniem, jak on powinien postąpić?...

— Ukrył się?

— A bo nie?... Naturalnie, że się schował, — tylko niech pan tego, z łaski swojej, do protokołu nie pisze!

— Bądźcie spokojni!... a któż daje na utrzymanie dziecka?... bo teraz przecież szklanka mleka dziennie, to straszny koszt!

Kobieta westchnęła.

— To też i trudno, — ale cóż robić?... My od niego nie możemy żądać, żeby on na to dawał... Co on może zarobić, taki dezerter, krawiec bezdomny?... A jak gdzie jaki grosz mu kapnie, to przecież musi żonie posłać do szpitala... bo tam jej jeść nie dają... A maleństwo to już my tak, — po sąsiedzku... Oj, jakiż to chłopaczek cudny!... i jaki spokojny! I już taki, biedulek, rozumny! Aby tylko Pan Bóg dał matce zdrowie, będzie miała z niego pociechę!... Kobietka ośmnaście zaledwie lat ma, a już takie wielkie nieszczęście przeżywa!

Znów się rozmowa urwała, znów cisza zaległa, tylko pióro skrzypiało po papierze...

— Powiedz mi pani, — przerwałam ciszę, — a ten oficer... jak on się nazywał?

— Oficer? Jak się nazywał?...

Znów patrzę po sobie bezradnie.

— Skąd my mamy wiedzieć? Do księgi meldunkowej się nie wpisał... przecież był u nas pokryjomu... Na imię miał Iwan Nikołowicz, to on nam sam powiedział... a o nazwisko pytać — ja-

koś nie było potrzeby... Bo i poco?... Korespondować ze sobą nie będziemy, — więc co nam po jego nazwisku?

Towarzysz mój podniósł od papieru zdumione spojrzenie.

— Jakto?... — zawołał — uratowałaś pani życie człowiekowi i nawet się go o nazwisko nie spytałaś?

Żydówka się jakoś wstydliwie, nieśmiało uśmiechnęła...

— Co to znaczy, uratowałaś życie?... To tak wygląda, niby, że to ze mnie jakaś bohaterka, na przykład, jakbym tonącego z wody uratowała, albo dziecko z pożaru... Nie, proszę państwa, to nic takiego nie było, żadnego bohaterstwa...

— Poczekaj! — odezwał się stary do córki. — Może być, że ten pan ma rację... Jeżeli dobrze rozważysz, to właśnie tak wypadnie, że ty jemu życie uratowałaś... Dlatego, że go nikt nie chciał przyjąć do siebie, — i musiałby pójść do szpitala, a tamby on zginął napewno... jak inni poginęli... widzisz... — tyś go wzięła, i on ocalał... to akurat tak wypada, żeś ty właśnie mu uratowała życie, akurat tak, — dodał z uśmiechem zadowolenia.

— No, — córka na to, — to i dzięki Bogu, żem uratowała! Niech sobie żyje szczęśliwie, kiedy jest wola Boża... Baruch Adonaj!... Ale co ma do tego — nazwisko?...

* * *

A ja — zapomniałam nazwiska tej Żydówki...



Dzień wyroku
(Fragment z okresu sprawy Bejlisa)

Tego dnia — nic nie było, nic!... Ani czasu, mierzonego godzinami i zwykłą pracą, ani zajęć codziennych, ani wydarzeń, ani zainteresowań... ani rozmów, ani myśli... nic! Samego dnia nie było...

Była pustka, próżnia, beznadziejność, — i grobowe milczenie... I ta straszna męka oczekiwania...

Wyrok w sprawie Bejlisa miał zapasć dopiero wieczorem... nareszcie miał zapasć, nieunikniony, nieodwołalny...

Cały Kijów wiedział, — że zawinił nie Bejlis... nazwisko „Czebyriaczki” było na wszystkich ustach... Lecz nikt w Kijowie nie wierzył w możliwość sprawiedliwego wyroku...

Już przestali się litować nad Bejlisem, — przeboleli... nie pogodzili się, nie, — lecz poprostu zmęczyli się tym ciągłym, piekącym bólem, tą beznadziejnością litości... Myśl i serca uczciwych obywateli, bez przerwy szarpane oburzeniem, poniewierane bezmyślnością procesu, — zamarły, — nie przytępiłone, lecz zgęsbione...

I tego dnia, — tego dnia, którego straszne napięcie zionęło tchnieniem grobowem... nie, — nie Bejlis był głównem oparciem myśli nas wszystkich... tych wszystkich, którzy potrafili po ludzku czuć i myśleć... Nie, już nie Bejlis... Myśleliśmy o tem, co nastąpi po ogłoszeniu wyroku. Jeszcze się przecież pamiętało krwawe dni 1905-go roku... Jeszcze nie zapomniano rzezi w Homlu i w Kiszyniewie...

Wiedziano zresztą — ilu przybyło do Kijowa „nowych ludzi” w ostatnich dniach procesu. Przyjeżdżali dużemi grupami, na dworcu kolejowym i na przystaniach statków parowych, oczekiwani i witani manifestacyjnie przez organizacje „czarnej sotni”, — na ulicach zachowywali się wyzywająco — i znaczyli węglem i kredą sklepy żydowskie... Cel ich przybycia był aż nadto zrozumiały... Delegaci żydowscy napróżno czynili starania o audjencję u władz, — nikt nie chciał z nimi pertraktować... choć już było wiadomem, że zebrane są duże sumy na okupienie spokoju...

I oto nadszedł — dzień wyroku!

Od samego rana, od świtu stałam przed oknem, tępym wzrokiem wpatrzona w ulicę poprzez kraty ogrodzenia małego ogródka przed moim parterowym domkiem... widziałam, jak zajechały dorożki... jak śpiesznie wysiadali ludzie, z paczkami, z tobołkami, niektórzy z walizami i koszami... przeważnie z dziećmi!... Te oczy matek... oczy ojców! — Otwierałam drzwi wejściowe... witali się w milczeniu... baliśmy się, wstydziliśmy się słów, — i ja i oni... Czasem padało tylko krótkie:

— Można?...

Byli znajomi, byli i nieznanymi... wchodzili do mieszkania, rozmieszczali się, gdzie się dało, — i pozostawali w tępem, grobowem milczeniu... wszyscy — nawet dzieci...

Ci, z większymi walizami, przy wejściu tłumaczyli się nerwowo, że mieli wyjechać z Kijowa, bądź gdzieś do krewnych na prowincję, bądź wogóle gdziekolwiek pierwszym odchodzącym pociągiem, — ale nie sposób dostać się na dworzec, — cała ulica Bezakowska, jedyna, którą można podjechać do dworca kolejowego, zapchana powozami jeszcze od wczoraj wieczór. Ludzie nocowali w dorożkach. Pociągi odchodzą przeładowane... Muszą więc szukać przytułku... No, wiadomo...

Nieco później zaczęli się schodzić pieszy, pojedynczo nadchodzący ludzie, samotni...

Niektórzy mówili na wstępie wstydliwie:

— Ja do was — na chwileczkę...

Ale zostawali z innymi...

Niektórzy tłumaczyli trwożnym szeptem, — że w rodzinie postanowili rozejść się, każdy gdzieindziej... Na czyjeś lekkie pytanie: „Dlaczego?” — odpowiedziała siwa starsza kobieta, matka dorosłych dzieci:

— Bo jeśli mają mnie zarząć, — to niech moich dzieci oczy na to nie patrzą... Bo, jak które z nich ocaleje, to całe życie będzie miało w oczach ten obraz...

Ogólne, głębokie, jak jęk westchnienie, odpowiedziało wśród martwej ciszy tym twardym słowem... A ona dodała po chwili, — po długiej chwili ważenia myśli:

— Ja się na wszystko godzę... trudno! Jeżeli muszę zginąć, — zginę!... Tylko tego nie mogę znieść, — żeby na oczach dzieci zginąć... O, nie chcę!

I znów cisza... bezruch... martwota... napięcie bezmyślnego oczekiwania.

Na podwórku, w ogrodzie bawiły się głuchonieme dzieci, zdziwione, że dziś nie mają lekcji, — po domu snuły się, jak cienie, moje młode pomocnice, nie śmiejąc podnieść oczu na błędne twarze naszych „gości”...

Około godziny 4-ej — przyszło dwóch nauczycieli... Ukraincy, słuchacze Instytutu Pedagogicznego... Byli chmurni, posępni, bladzi, zapukali cichutko w okno... wyszłam do nich do ogródka...

— Dużo pani ma... gości?...

— O, sporo...

— A... bezpieczeństwo — zapewnione?

— O tyle, o ile... Niby... nasze podwórze jest spokojne... ja wrogów nie mam... Ale — wszyscy wiedzą, jaki zjazd... I dom — parterowy...

— Macie jaką broń?... Macie dość ludzi... w razie czego!

— Mąż ma rewolwer... jest w domu... No, — prócz męża to ja... i trzy wychowawczynie...

— Niewiele... w razie czego!... Więc myśmy właśnie na wszelki wypadek — do dyspozycji... Mamy rewolwery... i gdyby coś takiego... damy rady!

— Bóg zapłać!... Wchodźciez do pokoju...

Spojrzeli po sobie, zakłopotani...

— A możebyśmy tutaj... w ogródku... tymczasem... co tam po nas, w mieszkaniu?...

— E, lepiej wejdźcie, panowie... pokażcie się tam ludziom... tak niby od niechcienia... Może im trochę otuchy przybędzie...

Jakoś nie chcą ruszyć z miejsca, przestępują z nogi na nogę, — wreszcie jeden powiada:

— Jaka tam do licha — otucha! O siebie będą spokojniejsi, to o setki braci i rodaków będą im serca krwawić, o tych, co to za nimi nikt się nie ujmie... w razie czego... i o ten swój los, który im każe — pod cudzym dachem ratunku szukać — przed bestjalską karą za nieswoje winy!... Jaka tam otucha!...

A drugi na to:

— Jabył nawet wszedł... Niechby wiedzieli, że obronę mają... i że są ludzie, którzy ich krzywdy nie chcą... ale mi wstyd! Taki mi straszny wstyd przed nimi... Jużbym wolał chyba być tym żydem, na którego pogromszczyk się rzuca, — niż tę hańbę znosić, ten wstyd piekący czuć w duszy przed każdym żydem, którego spotkam, od samego początku tego podłego procesu... aż po dzisiejszy dzień... po ten oto dzień, — jakież martwy... jakież wstrętny!...

Pierwszy też głową pokiwał:

— Dziś... dziś to ja już nawet wstydu nie czuję... tylko pustkę w duszy... taką nieznośną jakąś pustkę...

Ale wreszcie, po namyśle, weszli do mieszkania. Przeszli przez wszystkie pokoje, witali się ze znajomymi, przedstawiali się nieznajomym, nadrabiali minami, tłumiąc i kryjąc piekący



wstyd. Chcieli jakoś przelamać to przeraźliwe odrętwienie, nawiązać jakąś rozmowę, ożywić trochę — choćby tylko dzieci...

W dużym pokoju, gdzie przeważnie zgrupowały się dzieci z rodzicami, jeden z nauczycieli wśród rozmowy z jedną z matek, zajrzał w twarzyczkę tulącego się do jej kolan ślicznego czteroletniego chłopczyzny...

— Jak małemu na imię? — spytał.

— Sasza... — odpowiedziała cichutko, jakby z wysiłkiem...

— Sasza... ile ma lat?... Cztery?... Ależ ten Sasza prześliczne ma oczęta!... Takich oczu każda panna mu pozazdrości...

Nie dokończył słowa: ojciec dziecka, siedzący opodal, wybuchnął nagle strasznym płaczem, rozpaczliwym łkaniem... głowa opadła mu na stół i rytmiczne wstrząsy towarzyszące łkaniu, rzucały ciałem.

Zbliżył się ku niemu nauczyciel, — objął ramieniem za barki...

— Co panu? Co panu?... — pytał, nic nie rozumiejąc...

Tamten podniósł na niego bolesne, prawie obłąkańcze spojrzenie, — i zmagając się z wybuchami niesamowitego płaczu, zawołał:

— Zapięknę oczy... zapięknę!... Zanadto ściągają na siebie uwagę... To też ja ciągle o tem myślę... dzień i noc myślę... że mu te śliczne oczęta... pogromszczyk wykluje!...

Och, — całodziennie martwe odrętwienie — niczem było w porównaniu ze zgrozą rozpaczy, wywołanej tym wybuchem boleści ojcowskiej... i niema słów dość mocnych, by opowiedzieć taką chwilę...

Wybiegłam z pokoju, z mieszkania, na ulicę, — i poszłam przed siebie... Wstyd, rozpacz, oburzenie, gnębiące poczucie bezradności, bezwładu, ogrom litości, tej bolesnej litości rozumienia i współczucia, — smagały mnie i gnały... gdzieś, bez celu...

Ale wreszcie — przyszła świadomość, że trzeba wracać... że tamtych, pozostałych w mieszkaniu, boli jeszcze gorzej, niż mnie... że — może — jestem potrzebna...

Tylko, że... pomimo woli, szukało serce pretekstu do zwłoki... Aha, trzeba wstąpić do sklepu, — kupić... tak trudno zebrać myśli... Co właściwie mam kupić?... A, prawda, dużo osób zostanie na noc... zabraknie mydła...

Wstępuję po mydełko do składu aptecznego.

Sklep nieznamy, — to jakoś lżej...

W sklepie — bezruch i cisza... Młody ekspedjent siedzi za ladą na taborecie. Podniósł na mnie ciężki wzrok i ani się poruszył. Właściciel sklepu, starszy człowiek o długiej szpakowa-

tej brodzie, wstaje od kasy, podchodzi jak automat, wysłuchuje mnie, unikając starannie mego spojrzenia... z głową zwieszoną wyjmował z gablotki mydélka, a prawie co drugi kawałek wyślizgiwał mu się z bezwładnych rąk... pakował, wiązał, — rwała mu się bibuła, rwał sznurek.

Nareszcie podał mi paczkę, — i podniósł na mnie ciężkie spojrzenie... jakież nieufne, jak boleśnie pytające, — i jakież męczeńskie!... Wbił się spojrzeniem w moje oczy, w myśl moją, i przeczytał odpowiedź... przeczytał, wyczuł... nagle zmiękł jakoś, — i z półuśmiechem bolesnego rozumienia — pokiwał głową:... Ja — tym samym ruchem mu odpowiedziałam...

I więcej nic... ani słowa... ani westchnienia... Porozumieliśmy się... opowiedzieliśmy sobie, — obcy, nieznanymi ludziami, — cały nasz ból i wstyd, i troskę — i gehennę oczekiwania...

I z tem wyszłam... Najwyższy czas był wracać do domu: zbliżał się wieczór — i chwila wyroku.

Na ulicy niespodziewanie — dało się wyczuć — pewne odprężenie... — niby ledwie uchwytny przeblysk nadziei... Jedni drugim, znajomi i nieznanymi, szeptem powtarzali wiadomość, że któryś z wyższych dygnitarzy, — nie pamiętam już teraz, czy gubernator, czy generał-gubernator, — przyjął nareszcie delegację żydowską z rabinem na czele... Po długich kołatanjach przyjął oto dziś dopiero, w ostatniej prawie chwili przed zapadnięciem wyroku... przyjął, wysłuchał... ofiarowaną kwotę przyjął też... i zapewnił słowem honoru, że w tej chwili wyda odpowiednie rozporządzenia, i — nie tylko, że do pogromów, ale nawet do najmniejszych rozruchów nie dopuści... Cóż?! Mógł to zrobić, gdyby chciał. — Wiadomo było wszystkim, — że tamci „nowi ludzie”, przybysze, byli całkowicie do jego dyspozycji i stanowili kadry tak karne, że wystarczyłoby jedno słowo Ekselencji: „niewolno”! żeby nie doszło do żadnych „żywiolowych” rozruchów.

To było wszystkim wiadome, — i na tem się opierała nadzieja ratunku... och, nadzieja tego — że żadnemu żydowskiemu maleństwu, — ot, takiemu Saszy, czy setkom innych — ręką pogromszczyka ślicznych ocząt nie wyłupie...

Niewiadomo było tylko jedno: czy Ekselencja aby napewno zechce — dotrzymać słowa... Mówiono jednak, że delegaci wyszli pełni nadziei, zaduża była suma już wręczona, — a jeszcze większa ponoć miała być wręczoną za dotrzymanie słowa, — aby można było takie „słowo honoru” zlekceważyć... Zresztą, cały przebieg sprawy sądowej wykazał aż nadto jaskrawie, że idea „odruchów żywiolowych” — niezależnie od tego, czy zapadnie niewinny wyrok, czy skazujący, — jest w społeczeństwie

aż nadto niepopularna, i raczej pogorszy, niż polepszy sytuację ciężko skompromitowanego rządu...

Więc — powoli wstępowała otucha... Ulica zaczęła potrochu nabierać życia... Ogólna troska znów zaczęła się skupiać dookoła osoby Bejlisa; zginie, czy nie zginie Bogu ducha winny człowiek?...

Z temi nowinami — wróciłam do domu... Mówiłam, — że jest nadzieja... Ale cóż?! Nuty pewności nie było w moim głosie, — i nawet nie chciałam jej z siebie wydobyć: nie na takie chwile — „święte kłamstwo”...

Więc po krótkiej chwili poruszenia, — znów tępe odrętwienie i pustka oczekiwania... taka nieskończenie długa pustka...

Ale zaczęli coraz częściej nadchodzić nowi goście, przeważnie — nie Żydzi z temiż samemi wieściami: delegacja została przyjęta... Ekselencja dał słowo, że pogromów nie będzie... Przychodzili ucieszeni, że mogą podzielić się „dobrą nowiną”, — ale szybko przygasali sami, i siedzieli razem z nami, wyczekujący i milczący... lub też spieszyli na miasto, przed gmach sądowy, gdzie już, — jak niosła fama, — zebrały się tysięczne tłumy... Mnie też tam ciągnęło, — ale nie sposób było odejść, — zejść z posterunku... Całkowitej pewności bezpieczeństwa — nikt w duszy nie miał.

Ale w miarę zbliżania się wieczoru, już przed godziną szóstą coraz więcej ciągnęło każdego do okien wychodzących — poprzez ogródek, — na ulicę, — gdzie się stopniowo wzmacniał ruch — wyłącznie w kierunku śródmieścia...

Biło to w oczy... Od rana ta ulica była prawie pusta... Rzadkie postacie przechodniów ukazywały się przeważnie od strony śródmieścia... Teraz — coraz gęstsze tłumy zdążyły tam, pod gmach sądowy...

I raptem prąd się zmienił: burzliwą falą ruszył tłum zpowrotem, podniecony, ożywiony, radosny.

Widząc to, wybiegłam przed bramę...

Uniewinniony! Uniewinniony! — rzucano zewsząd z tłumy.

Każdy chciał się podzielić wszystkimi szczegółami, które, niewiadomo skąd, przenikły w tłum...

— Uniewinniony jednogłośnie, — wołali.

— Dziesięciu głosami przeciw dwom!...

— Jedenastu przeciw jednemu!...

— Tłumy wiwatują przed sądem...

Pytałam się skwapliwie:

— Gdzie Bejlis?.. Czy już zwolniony?..

Nikt dobrze nie wie: jedni mówią, że pozostały jakieś for-

malności do załatwienia, więc zwolnią go jutro rano, — drudzy znów, że już zwolniony i pokryjomu został w karecie wywieziony do domu — w obawie przed ekscesami ze strony zebranych tłumów... Że ludzie oblegają poczty i telegrafy, że tysiące depesz wysyła się na wszystkie strony, po całej Rosji i zagranicę, — i że w mieście spokój... Patrole policji konnej i zwykłej krążą po wszystkich ulicach... a tamtych, — butnych przybyszów, ani śladu...

W mojem mieszkaniu pełno ludzi, — kto tylko ze znajomych przechodził — wpadał podzielić się radością, wrażeniami, i niecałkiem zgasłymi obawami...

Wśród Żydów, mych przygodnych domowników, — powstał cichy płacz...

Płakały matki, tuląc do siebie swe ocalałe maleństwa, łąły się łzy po pobladłych twarzyczkach starszych, już wszystko rozumiejących dzieci i nastraszonego, choć o niczem nie wiedzącego drobiazgu. Żaden z nich jednak nie śmiał zapłakać głośno... Płakali łzami — nie ulgi, lecz łzami odprężenia — ojcowie rodzin... Wszyscy się rwali — zaraz natychmiast — wracać do domu, do siebie... Ale — przecież jeszcze całkowitej pewności nie było... Trzeba było — przeczekać jeszcze noc...

Tylko, — już było lżej oddychać, — ludzie podobno poczuli, że żyją, i minął koszmar strachu szczutej zwierzyny, — i minął koszmar wstydu — przed braćmi-ludzi — za braci-ludzi.

Już zaczęto uśmiechać się, rozmawiać, karmić dzieci, — szykować się do spania w obozowisku...

Dwaj nauczyciele-Ukraińcy, spokojni narazie o los moich gości, pomknęli na Jurkowie, przed dom, gdzie mieszkał Bejlis, na wszelki wypadek...

Wszak mógł się znaleźć w tłumie, jakiś dziki fanatyk, lub poprostu podesłany oprawca, i skrytobójczym strzałem „naprawić” wyrok przysięgłych...

Pobiegli tam, — zdążyli jeszcze przed powrotem Bejlisa z więzienia... Potem wrócili, — opowiadali: przed furtką domu stała nieduża garstka ludzi, — powszechnie panowało przekonanie, że wypuszczą więźnia dopiero jutro, po załatwieniu formalności. Wśród zebranych był nastrój widocznego wzruszenia i współczucia...

Jakoś już dobrze o zmroku zajechał dorożką — Bejlis. Pierwszy rzucił się ku niemu z gorzkim płaczem, porwał go w ramiona i, głośno łkając, całował — „baciuszka”, ksiądz prawosławny, kapelan ze szpitala Kiryłowskiego...

— Brat mój nieszczęstnyj! Kak ja za tiebia izstradalsia!

(Bracie mój nieszczęśliwy! Jakżeż bolałem za ciebie!) — wołał, ściskając Bejlisa i płacząc...

* * *

...Biedny stary „baciuszka”, sprawiedliwy i ludzki!... Jeszcze raz i jeszcze okrutniej szarpnął ból jego czystym sercem, ból nieutulony, niepoczyszony: jego rodzony syn, bodaj, czy nie jedynak, antysemita-prawicowiec napadł w kilka miesięcy później, na wiosnę, w lesie Puszczy-Wodzicy, na majówkę młodzieży żydowskiej i strzałem z rewolweru położył trupem jednego z uczestników — z okrzykiem: „masz — za Bejlisa”.

Inny świat — inny człowiek...

Wtedy Żydzi płakali nad rozpaczą i bólem starego „baciuszki”, nad zgrozą, ziejącą z przerażonych oczu wierzącego w Boga kapłana, który stał się — ojcem mordercy!



Ż a r t y.

(Zdarzenia z czasów przedwojennych w Rosji).

Proces lichwiarza Goldenberga przewlekał się... Przed oczyma sędziów przysięgłych przesuwiał się długi szereg ludzi, pałających gniewem... Zetknęła ich z tym człowiekiem nędza rozpaczliwa, czasem może nieogłędność, czasem chęć zysków. Szli do niego ludzie wolni, zaś odchodzili — niewolnicy, którzy mu swoją pracę, swe życie, swój spokój sprzedali... On, jak pająk dopiero wówczas puszczał swą ofiarę, kiedy już kropli krwi nie miała...

Mógł mieć może lat 40. Rysy twarzy miał dość regularne. Ale niemiły był wyraz tej drapieżnej i dumnej twarzy... Obciążających zeznań i przekleństw swych ofiar, wysłuchiwał z miną nie dbałą i znużoną, i tylko zrzadka drwiący uśmiech usta mu poruszał i wykrzywiwał...

Do większości świadków nie odzywał się wcale, a na zapytanie przewodniczącego, czy niema nic do powiedzenia, tylko przecząco potrząsał głową... I tylko do najbardziej zaciętych czasem, uprzejmie podnosząc się z ławki, zwracał się z ironicznym pytaniem:

— Niech pan będzie łaskaw przypomnieć, jak doszło do naszej znajomości: czy ja poszukiwałem pana, czy pan mnie?

Oczywiście, że nie on...

On bogaty... on okrutny... nikogo nie potrzebował.

Jeden ze świadków w ten właśnie sposób odpowiedział mu...

— Nie, panie Goldenberg, oczywiście nie pan mnie szukał, tylko ja pana... Czyto pan szedł do ludzi?... Czy pan ludzi potrzebował?... Dla pana tylko pieniądze miały wartość, a z ludźmi pan nigdy nie pragnał bliskości.

— Myli się pan, — odparł lichwiarz, — byli i tacy, do których ja szedłem, ale oni się odwracali ode mnie... Byli to moi bracia i siostry...

— Ależ ten fakt chyba nie na korzyść pana świadczy — zawołał świadek.

A lichwiarz obojętnie rzucił mu:

— No, naturalnie!...

I to było prawdą...

Kiedyś w młodości, na początku swej haniebnej kariery, zwraca-

cał się on kilka razy do rodzeństwa, ofiarując im bądź pieniądze, bądź protekcję. — Oni odmawiali.

Na długo przed procesem oni go potępili, przestali uważać za brata... Tutaj, do sali sądowej, nikt z nich nie przyszedł, nikt nie chciał zeznań składać — bo i pogo? Jedyne stary ojciec...

On sam się zgłosił na świadka — nie poto, żeby bronić, lecz poto jedynie, by przed sądem prawdę powiedzieć... on tylko prawdę chciał powiedzieć...

— Ja muszę!... ja muszę!... — powtarzał żonie. Stara Sura Goldenberg napróżno go powstrzymywała!

— Nie chodź, Mojżeszu... zaniechaj... Naco ci jeszcze ta męka?...

— Nie mogę, Suro!... ja muszę!... jam ojciec!... jam go rodził i wychował, ja za niego przed Bogiem i przed ludźmi odpowiadać mam... Bóg jeszcze mnie na swój sąd nie wzywa, — ale ludzie sądzą mego syna, — tem samem oni mnie sądzą.

— Oj, Suro, nie mów nic! — ja pójdę do sądu na świadka! Powiadasz — serce boli? A czyż ono mniej będzie bolało, jeśli ludzie powiedzą, że oto stary Mosze zląkł się prawdy, nie poszedł na sąd świadczyć, nie chciał się przyznać przed ludźmi, jakiego ma syna, jak swoje dziecko wychował?... Nie płacz, stara!... Inaczej nam nie można... Niech ludzie nie myślą, że stary Mosze więcej wstydu się boi, niż grzechu. Nie, ja wolę wstyd znosić, może przez to grzech mój nie będzie tak ciężki...

I poszedł siwy Mojżesz do prokuratora i zgłosił się na świadka w sprawie swego syna...

Oto co powiedział sądowi:

— Ja tutaj przyszedłem panowie sędziowie, nie poto, żeby bronić swego syna. Jestem starym człowiekiem, za grzech uważałbym czarne za białe podawać... Ale też nie przyszedłem go oskarżać. Pan Bóg go oskarży, jeżeli zechce... Ja przyszedłem powiedzieć przed sądem całą prawdę, jak u nas wszystko było, i w jaki sposób on się taki zrobił, że teraz musi przed sądem stać... Jam jego ojciec, ja go wychowałem, ja za niego muszę przed Bogiem i przed ludźmi odpowiadać... Otóż właśnie stawiam się, by tę odpowiedź złożyć... Co znaczy panie prezesie? Ja mam mówić o sprawie?... Ja przecież o sprawie właśnie mówię... To przecież jest najważniejsze, to, co ja chcę powiedzieć... Wy tam wezwaliście doktorów, żeby oni wam powiedzieli, czy jego dusza zdrowa, czy chora, i czy rodzice jego zdrowi. Jedni jedno powiedzieli, drudzy drugie... no to ja Wam mówię, że żaden doktor tego nie powie, co powie ojciec... Muszę państwu powiedzieć, że kiedy ludzie sądzą syna, Bóg sędzi jego ojca... Jego hańba — moją hańbą. Ja muszę wyznaczyć całą prawdę, jak go wychowałem... Miałem ja

ośmioro dzieciak moich, i Lejbele był najmłodszy. Z początku, kiedy się ożeniłem, życie miałem bardzo trudne... Ja jestem introli-gatorem i miałem własny warsztat introligatorski, ale na tej ulicy jeszcze jeden introligator założył warsztat i była u nas konkurencja... Co mogłem zrobić? Przenieść się na inną ulicę — to mogłem stracić i dawnych klientów... Bo to, proszę państwa, każdy rzemieślnik musi stale mieszkać na tej samej ulicy. Klient nie pójdzie mnie szukać po całym mieście, on odda obstalunek temu drugiemu, który jest bliżej... To też tak zrobiłem. Zostałem i było mi, och, ciężko, ale chwalić Boga, On na mnie zawsze był tak łaskaw, że na kawałek chleba starczyło... Dzieci moje ani jednego dnia głodne nie były... Mnie z moją starą nieraz się zdarzało, ale dzieci to co innego... Dzieciom na chleb starczyło... Tylko na naukę nie, a ja tak chciałem, tak bardzo chciałem je uczyć... Serce mi się ścisnęło, kiedy widziałem, że inne dzieci do szkół idą, a moje biedactwa w domu siedzą... I cóż to za dziatki były, proszę państwa! Jak się uczyć chciały... Oj-jej!... Mój najstarszy, Hersch, to on tak płakał, żebym go do szkół oddał!... Ja też nad nim płakałem, — ale cóż? On mi był potrzebny w warsztacie, on, jako starszy, był mi za pomocnika... Po żydowsku czytać i pisać ja je nauczyłem, po rosyjsku one tam same na podwórku od innych dzieci się uczyły, i arytmetyki też... Jak dziatki podrosły, było mi coraz lżej, bo i synowie zaczęli zarabiać. Wszystkie trzy córki prędko zamaż poszły, — ładne dziewczęta były i poczciwe, to mi je i bez posagów zabrano, — o trzy głowy miałem mniej do wyżywienia... Wtenczas jednego syna, takiego, co o trzy lata był starszy od tego oto, oddałem do szkoły powszechnej. Oj, jej, jej! Cóż to było za święto, cóż za szczęście dla nas, że Beniek poszedł do nauki!... Myśmy z moją starą cały dzień płakali z tej radości, że i nasze dziecko uczy się, jak inne... I wszyscy płakali, i bracia, i siostry... Daj im Boże jeszcze raz w życiu takimi błogimi łzami płakać, — a ja już chyba nie będę... I Beniek zawsze szedł do szkoły taki dumny, i wracał ze szkoły też dumny... i ciągle opowiadał, jak i co w szkole, i jak go profesor wywoływał, i jak on odpowiadał... A myśmy go słuchali, jak świętego... I mówiliśmy zawsze, że Lejbuska, naszego młodszego, koniecznie oddamy do szkoły, żeby on w ciemnocie nie pozostał, jak starsi bracia... A jakże. Czyż to można? Takie dziecko! Toż to był dzieciak taki piękny, taki mądry, taki poczciwy! Taki serdeczny, taki delikatny!... a jaki zdolny!... Czasem Beniek się czegoś uczy na głos, wierszy, czy geografji, — a Lejbele sobie siedzi obok i słucha, — to on już wszystko lepiej od Beńka umie... I takiego dziecka nie uczyć?... Starsi synowie mi powiedzieli, że oni mi będą dawać miesięcznie co mogą, bym jemu wziął nauczyciela, do gimnazjum żeby go oddać... Ja się zgodziłem... Jak ja mogłem się nie zgodzić, kiedy ja całe ży-

cie tylko o tem szczęściu marzyłem, żeby się moje dzieci uczyły?... Oj, oj, jam stary człowiek, ale i jabyem się jeszcze uczył, a cóż dopiero dziecko! A jeszcze mój Lejbuś taki był chciwy wiedzy... Kiedy ja powiedziałem synowi, że go chcę do gimnazjum oddać, nie wiedział, co z sobą zrobić... i śmiał się, i płakał... Wtenczas mi tak Pan Bóg dopomógł, że mój konkurent wyjechał do Ameryki, ja miałem więcej obstalunków, interes poszedł dobrze, żona mi zaczęła w pracy pomagać, kiedy jej dzieci ręce rozwiązały, — tośmy wzięli porządnego nauczyciela, studenta, żeby Leonek do niego chodził codzień. I zaczął się uczyć!... I tak wszystko dobrze poszło i takeśmy te dwa lata przeżyli, jak w rajcu... I wciąż z moją starą rozmawialiśmy o tem, — jak to nasz Leoś pójdzie do gimnazjum, jak mu mundurek zrobimy ładny, i wszystko... jak on maturę zda i jak, jeśli Bóg da, na uniwersytet wstąpi i doktorem zostanie... Myśmy z żoną właśnie pragnęli, żeby on był doktorem... biednych ludzi... leczył... ratował... To nic... to nic... panie prezesie... to przejdzie, to tak tylko... mnie się przypomniało...

Ale łkanie przerwało mu mowę...

A z sali, z miejsc dla publiczności odpowiedziały głośnie łkania starej Sury Goldenbergowej...

Sąd ogłosił przerwę.

Po przerwie znów siwobrody Mojsze stał na swoim miejscu i mówił:

— Otóż Leonek nasz wstąpił do gimnazjum. Świetnie zdał egzamin... Zaczął się pilnie uczyć. Ale zaledwie po miesiącu, przychodzi jednego razu do domu, błady, jak śmierć... Myśmy się złękli, — co jest? Powiada: Jedynekę dostałem!... Za co?... Nie chce mówić, płacze... Ja głowę straciłem... co znaczy?... Mój syn nie chce się uczyć?... Albo może on coś zbroił? Ja przecież muszę wiedzieć, jestem ojcem... Prosiłem go, błagałem, żeby mi wszystko powiedział, i matka prosiła i płakała... ale on nie chciał. Wtedy wzięłem rzemień i, niech mi Bóg przebaczy, jeśli postąpiłem niesłusznie — zbiłem go... cóż mogłem zrobić?... Ja tak rozumiem, że jeżeli człowiek nie chce prawdy powiedzieć, to znaczy, że zawinił... No to ja go zbiłem... A przedtem swoich dzieci nigdy nie biłem, — dzięki Bogu, nie miałem potrzeby... No, więc teraz myślę, może mię za to Pan Bóg karze, bo od tej pory straciłem mego syna... już nie miałem mego Lejbele... On uciekł z domu, ukrył się gdzieś w stodole i tam płakał przez cały wieczór... Nazajutrz powiedział mi, że więcej do klasy nie pójdzie... Ja go prosiłem, błagałem... On powiedział: „ja więcej nie pójdę!” Wtedy chciałem pójść do gimnazjum, dowiedzieć się, co jest... To wiecie państwo, co on mi powiedział?... Otóż powiedział, że tego dnia, kiedy ja pójdę do gimnazjum, albo choć jednego człowieka się spytam, co się tam stało,

to on sobie życie odbierze... I dałem mu słowo, że nie pójdę... i dotrzymałem słowa... i dotychczas nie wiem, co tam się stało, przez co się zmarnowało moje dziecko... wiem tylko, że on zginął... Ja go już więcej nie widziałem dobrem dzieckiem... Wciąż myślał, tak dużo myślał, i taki był odtąd chciwy na pieniądze, że się wszyscy dziwili... Zaczął w moim warsztacie pracować, — z niego też wcale dobry robotnik był, ale mnie to nie cieszyło... Ponad siły pracował i dobrze zarabiał... Mając lat szesnaście, już sobie złożył dość pieniędzy i zaczął dawać na procent... Pan Bóg widzi i dobrzy ludzie wiedzą, jak ja tego nie chciałem, ja go odmawiałem... Ale on mnie nie usłuchał, tylko się z domu przeniósł i zamieszkał osobno... A nie był złym synem... on spoczątku chciał mi pomagać... ciągle mi dawał pieniądze, ale jam nie brał, ja zawsze mówiłem, że mi te pieniądze ręce parzą... Raz mi powiedział, że tylko głupiec może być uczciwy, a on chce zostać mądrym, bo głupców ludzie nie szanują... wtedy ja płakałem i włosy swoje rwałem... siwe już były wtenczas... I wtedy zrozumiałem, że moje dziecko zginęło nazawsze... ale z jakiej przyczyny... Tego ja nie wiem dotąd... wiem tylko, że to mój grzech, bo jestem jego ojcem... Tyle lat przeszło od tej pory, a ja jeszcze teraz co noc myślę i myślę, i żona mi wciąż powtarza, że to napewno moja wina, bo ja go wtenczas zbiłem, a kto wie, czy on na to zasłużył... Może być, może być, że to moja wina...

— Nie! ojczel! To nie twoja wina! — dał się słyszeć donośny, ostry głos z ławy oskarżonych, i wysoka postać lichwiarza uniosła się, sztywnie wyprostowana. — Panie przewodniczący, ja proszę o głos...

Przewodniczący udziela mu głosu.

Chwilę stoi przybladły, ze wzrokiem zamglonym, kąty ust drgają mu nerwowo, — i coś nowego, coś ludzkiego daje się odczuć w tej drapieżnej, złej twarzy...

Po chwili rozpoczyna swą mowę, powoli, z przerwami, jakby starannie dobierając słów właściwych:

— Wysoki trybunale i panowie przysięgli! Do tej pory ja nigdy nie stawiałem sobie pytania, w jaki sposób stałem się „taki”, jaki jestem, gdyż to pytanie mnie nie interesowało... Jaki jestem, — podobam się sobie, — a i teraz nie mam o sobie ujemnego wyobrażenia, — bo proszę panów, w człowieku nadewszystko cenię rozum... A więc i nie miałem zamiaru opowiadać przed sądem historii mego upadku... bo do upadłych siebie nie zaliczam... Ale za takiego ma mnie mój ojciec... no i wy wszyscy, panowie sędziowie przysięgli... Ojciec dostrzegł, spamiętał i ściśle przed wami określił moment mego przełomu moralnego, który on nazywa upadkiem... Jabym nic na to nie mówił, tylko nie chcę, żeby przed

ludźmi i sobą ponosił odpowiedzialność za moje „winy”, żeby jego wstyd dręczył... Bo on słusznie twierdzi, że złym synem nie jestem... więc żeby z niego zdjąć odpowiedzialność za to, że jestem „taki”, opowiem wam, kto temu winien... Tak, moment mego przesilenia moralnego ojciec określił dobrze... więc cóż się tego dnia zdarzyło?... Przeszedłem do klasy, jak zawsze, szczęśliwy i pełen radości... O, panowie napewno nie wiecie, z jakim zachwytem idzie się do szkoły, idzie się uczyć żydowski chłopak z ubogiej rodziny... choć mu nie zawsze dobrze jest w tej szkole... Nieraz jeszcze na początku obijało się o moje uszy słówko „parch”, rzucone przez kogoś z uczniów, — ale ja się starałem go nie słyszeć, nie rozumieć, ja podświadomie stawałem się głuchym na ten wyraz... Ale naogół koledzy traktowali mnie dobrze... I otóż tego właśnie dnia feralnego wyrwał mnie profesor języka rosyjskiego, — pierwszy raz mnie dopiero wyrwał... Pyta mi się: — *Jak ci na imię? Mówię: Leos...* Mnie tak zawsze koledzy nazywali... Wtedy on krzyczy na mnie: *„Kłamiesz! Jaki tam z ciebie Leos“*... Nie zrozumiałem o co chodzi, i mówię mu znów: na imię mi Leos... wtedy on schodzi z katedry, dochodzi do mnie i śmieje się: — *Czy parchy mają imię Leon? Ty jesteś Lejba, nie żaden Leon i nie masz prawa za Leona się podawać! Rozumiesz, ty, parchu!*

Mało co zrozumiałem... wiedziałem przecież, że mam na imię Lejb, co znaczy Lew, i wiedziałem też, że po rosyjsku mnie zawsze wołali „Leos”, — więc nie mogłem zrozumieć, co w tem złego... Ale pamiętałem, że się zarumieniłem, odczułem, że jest w tem coś ogromnie upokarzającego dla mnie... I przecież to pierwszy raz w życiu rzucono mi w oczy słowo „parch”... I jak rzucono!... Teraz, proszę panów, ja się już z tym wyrazem oswoiłem, mnie 30 tysiące razy mówiono, — ja go nawet w oczach czytałem u wielu z tych, co przyszli tu, jako świadkowie... Więc teraz wszystko mi jedno, — parch, to parch... Ale wtedy dla mnie w tem słowie była taka zgroza, taka hańba... i nie moja tylko hańba, ale i ojca mego, i matki, i wszystkich, których kochałem. A chłopcy się śmiali, koledzy moi, — im bardziej byłem zmieszany, tem głośniej się śmiali... I profesor też śmiał się, — dręczył dziecko — i śmiał się... Potem mi mówi: *„Lekcję umiesz? No, odmieniaj mi wyraz „parch“!* Śmiech powstał w klasie jeszcze huczniejszy. Ja milczałem... nie mogłem odmieniać... Ale on się rozgniewał, zaczął krzyczeć... i nie śmiałem upierać się dłużej... Zalewając się łzami, dławiąc się, dusząc ze wstydu i upokorzenia, zacząłem odmieniać wyraz „parch”. Tłumiąc ból i łzy, odmieniałem przypadek za przypadkiem. Ale się omyliłem i powiedziałem w liczbie mnogiej: *parchaci*. On znowu krzyknął: *„nie tak!“*... Zamilkłem... nie mogłem myśli zebrać... nie wiedziałem, jak trzeba powiedzieć...

on zaś żądał stanowczo, żebym powiedział prawidłowo... A kiedy zrozpaczony, bez siły, łkając, upadłem na ławkę, wystawił mi jedynekę... za to, że nie znałem liczby mnogiej od wyrazu „parch”. Naturalnie, że się spłakałem... Byłem przecież dzieckiem, a dzieci pokrzywdzone zawsze płaczą... Ale potem zacząłem rozmyślać, co mam powiedzieć w domu... spytają mnie przecież, za co dostałem jedynekę, i będę musiał ojcu opowiedzieć, co oni tu ze mną zrobili... powtórzyć przed nim to przekłete słowo „parch”, żeby i on przeżył i odczuł to upokorzenie, które ja przeżyłem... I zrozumiałem odrazu, że to nad moje siły, że ja tego nie mogę... Małym chłopcem byłem wtedy, ale rozumiałem, że to niemożliwe... mnie się to wydawało takim nieludzkim okrucieństwem... Rzeczywiście... to, co potem uczynił, może było jeszcze boleśniesz... lecz ja wtedy inaczej nie mogłem... Nie przyznałem się w domu, za co jedynekę dostałem... i ojciec mnie zbił... Od tej daty przestałem być dzieckiem. Nie z twoich razów, ojciec, nie dręcz się napróżno... Ja już ze szkoły wróciłem nie taki, jaki tam poszedłem: Tam moją duszę zabili... I to jest szczerą prawdą, proszę panów, to wszystko, co tu opowiedział... Mam na to świadka: Ten profesor, — on jest tutaj, między wami, panowie sędziowie przysięgli!...

Ktoś głośno jęknął na sali... Potem cisza nastąpiła, — I wszystkie oczy zwróciły się na poważną wyniosłą postać starszego jego mościa, w nauczycielskim mundurze, siedzącego w pierwszym rzędzie sędziów przysięgłych.

Ale natychmiast każdy z przykrem uczuciem odwracał wzrok. Tak nieznośny był widok tej zmieszanej, stropionej twarzy... Aż nazbyt było widoczne, że to ten sam, — niewątpliwe było też, że on przypominał sobie wydarzenie, ale przypominał nie odrazu, nie w toku, lecz dopiero teraz, w tej chwili, kiedy wskazano na niego...

I przykry, ciężki, nieznośnie ciężki był widok tego oszołomionego człowieka, — zdawało się, iż czekał, wystraszony, że zaraz go uderzą.

Za to inna twarz ściągnęła na siebie wszystkie spojrzenia, — sędziwa twarz Mojżesza Goldenberga. Siedział skulony, zgarbiony, z głową wtuloną w ramiona, z ustami otwartymi, z wyrazem zgrozy w nieruchomych oczach, wlepionych w twarz mordercy jego syna, ukochanego jego chłopca... — Ten człowiek zabił moje dziecko! — Krzyczały, wołały te straszne nieruchome oczy... i zrozumieli wszyscy jego niemy krzyk...

Głuchy tumult przerwał ciszę, — coś runęło na podłogę...

To nieprzytomna padła stara Sura...

Matka sercem znękanem odczuła i przeżyła całą pełnię gorczy i upokorzenia, którą wypadło przeżyć jej dziecieniu, jej pocz-

ciwemu, małemu synkowi, — taki ból chwycił to biedne serce, że sił kobiecie nie stało, i nieprzytomna padła stara Sura...

Ludzie ją otoczyli, dźwignęli, wynieśli, — a Mojżesz siwobrody wciąż siedział bez ruchu, nie odrywając pełnych zgrozy oczu od tego człowieka...

A jegomość w mundurze profesorskim pod tem gnębiącym spojrzaniem pochylił nisko głowę...

Wtedy z ławy oskarżonych znów dał się słyszeć ostry głos lichwiarza. — Teraz brzmiał nieco łagodniej i równiej...

Lichwiarz dalej ciągnął:

— A więc po tem wszystkiem zacząłem ciągle myśleć, z jakiej przyczyny jestem „parchem”, i dlaczego mam być gorszy od innych ludzi... Panowie się zgodzą, że dla małego chłopca jest to rzecz bardzo trudna do zrozumienia... I jeszcze o tem myślałem, w jaki sposób ma dojść Żyd do tego, żeby i jego szanowano, żeby i jego traktowano po ludzku... Próbowałem ostrożnie, dyskretnie rozpytać się ojca, — ale nic mądrego nie miał mi do powiedzenia... Mówił, że trzeba żyć uczciwie... Wszak ja najlepiej wiedziałem, że on przez całe życie był uczciwy, a czyż to jego syna uratowało przed krzywdą?... A i on sam, uczciwy, stary człowiek, nieraz pochylał nisko czoła przed hańbiącym wyzwiskiem „parcha”, — ja się tego też dowiedziałem później, — więc i rada jego się nie nadawała... A ja chciałem tak przeżyć życie, żeby więcej nikt i nigdy nie śmiał mnie znieważać!...

Tony potęgi i siły niezłomnej brzmiały w głosie lichwiarza przy słowach ostatnich...

Widać było, że unika wzroku ojca.

* * *

I wszystko poszło zwykłym trybem.

Przemawiał prokurator, po nim obrońca, krótkie zeznanie wygłosił przewodniczący, udali się na naradę sędziowie przysięgli i wyrok wynieśli. — Ileś tam tygodni, czy miesięcy więzienia.

Nikogo ten wyrok nie poruszył, nie zatrwożył. Rozumieli wszyscy, że w tej chwili nie o wyrok chodzi.

Było coś... ważniejszego!

Nikt z publiczności nie ruszył się z miejsca, nie opuścił sali.

Widzieli wszyscy, jak stary poważny jegomość w mundurze profesorskim, zbladły i przygnębiony, podszedł do siwego Żyda... wszyscy słyszeli, jak powiedział:

— Niech mi Pan wierzy, nie chciałem krzywdy pańskiego syna, nie wiedziałem, że tak to przyjmie... to były tylko żarty...

— ...Żarty — drżącymi wargami powtórzył Żyda stary — żarty!

L e j b e l e

Oczęta czarne, ogromne, jedwabiste długie rzęsy, twarzyczka szczupła, blada — bledziutka...

Stoi przy oknie, zamyślony głęboko...

Podchodzi doń cichutko, — nie słyszy, nie czuje, pogrążony w swych myślach...

— Co ci, Lejbele?... O czym tak myślisz?

Podniósł w górę smutne ślepki, jak ze snu obudzony, — a w nich jakieś nieśmiałe bolesne pytanie...

Widzę: chce się o coś zapytać, — a nie śmie...

— Powiedz, Lejbele, powiedz, dziecino kochana, — o co chcesz się spytać, o czym myślisz?...

— Ja myślę, — szepcze mi Lejbele wstydliwie i tajemniczo, — po co to są na świecie Żydzi i Nieżydzy... Pani mi to może powiedzieć?

— No, widzisz, chłopcze, to jest proste; nietylko przecież są Żydzi i Nieżydzy na świecie, jest jeszcze wiele innych narodów: Francuzi, Niemcy, Turcy, — chyba wiesz?

— Ja wiem, — poważnie kiwa małą główką... — To niedobrze!

— Czemu niedobrze?... Drzewa, na przykład, też, — patrz, — bywają różne: brzozy, sosny, dęby, lipy... Czyżby lepiej było, gdyby wszystkie drzewa były jednakowe?...

— E-e, tam! Drzewa! Drzewa to nic!... To nikomu nie szkodzi, że one są różne... Ale ptaki, na przykład, lub tam zwierzęta, to już jest źle, że nie są jednakowe... bo napadają jedno na drugie... I kto to wszystko tak urządził?... Pani mi może powiedzieć?...

— Ojej! Co ty się pytasz, głupi dzieciaku! — niecierpliwie wtrącała się matka do rozmowy. — To ty sam nie wiesz, kto wszystko na świecie urządził?... Bóg tak urządził według woli Swojej.

— Bóg?... — ciągnie Lejbele, strapiiony. — Sam Bóg?... Po cóż to On tak zrobił?...

— Niby jak, Lejbele?

— A no tak, żeby — Żydzi i Nieżydzy...

— A ty jakbyś chciał? — śmiejąc się, pyta matka. — Żeby sami Żydzi byli na świecie?...

Lejbele patrzy, patrzy, i, spuszczaając oczy, odpowiada, — jakby trochę od rzeczy:

— Żydzi mnie nigdy nie krzywdzili...

Och, Lejbele, Lejbele, mały mój, ośmioletni Lejbele! Gdybyś wiedział, jak ja się boję w tej chwili spotkać się spojrzeniem z oczami twojej mamy!... jak ja pragnę — nie widzieć jej twarzy!...

Lecz, i nie patrząc, czuję na sobie jej pytające spojrzenie, nie patrząc, widzę jej bolesny uśmiech... Ona pochyla się, matka, nad kędzierzawą główką dzieciny...

— A Nieżydzi? — pyta. — Nieżydzi, — powiedz Lejbele, — krzywdzą cię?... Krzywdzą?...

Chłopiec znów patrzy... długo patrzy...

— Nie wszyscy... — mówi półgłosem...

— Nie wszyscy... — smutnie powtarza matka. — Nie wszyscy, mówisz?... No, tak, tak... A jednak jakże ty myślisz, — czy lepiej, żeby nie było Nieżydów?...

Chłopiec rączęta rozkłada...

— Kiedy właśnie sam nie wiem! — powiada zatroskany... — Bo oto ja często bywam smutny, i jeszcze znam dużo chłopców żydowskich, że oni ciągle są smutni, — a chłopcy chrześcijańcy na naszym podwórzu wszyscy są weseli, — uj, jacy weseli!... I ja-bym chciał... to jest, ja myślę, że byłoby dobrze, gdyby było na świecie dużo ludzi wesółych...

— A widzisz, — znaczy się, że trzeba, żeby i Nieżydzi byli na świecie?...

— Nie wiem, — sam nie wiem... Ciągle myślę i myślę, — i na nic zgodzić się nie mogę... Ale ja już coś innego wiem... o sobie!...

— No, no... co ty wiesz?

— Już wiem, — kim chcę być...

— To powiedźże, powiedź...

— Jabym chciał być uczonym... najuczestszym w całym świecie! Oj, takim uczonym, takim uczonym, — żeby aż z Bogiem rozmawiać!...

— Lejbele!...

Matka osłupiała ze zdumienia... patrzy w twarzyczkę syna szeroko rozwartymi oczami, — jakby go pierwszy raz widziała...

A ja się chłopca spytałam, siląc się na ton żartobliwy:

— Co ci do głowy strzeliło?... O czym to chcesz Bogu opowiadać?...

— Opowiadać?... Nie!... ja nie opowiadać chciałem... On przecież Sam wie wszystko i widzi... Ja się Go chciałem tylko pytać...

— Co, co ty chcesz pytać? Co?... Powiedz, co, mój Lejbele! — z drzeniem w głosie prawie że krzyczała matka.

A dzieciak na to — głosem pewnym, jak o rzeczy, oddawna i głęboko przemyślanej:

— Jaby Go tylko spytał, poco On wszystko tak niedobrze urządził, — oto, że są na świecie tacy różni ludzie, — znaczy się, że Żydzi i Nieżydzy, i że może jeden człowiek drugiemu krzywdę zrobić...

— Oj, Lejbele, Lejbele!... Oj, biedne, nieszczęśliwe moje dziecko! — wydarł się matce krzyk rozpaczy. — Co ty wygadujesz? Jak ty mogłeś takie słowa wymówić? Żebyś ty chciał Bogu wymówkę dać, że On nie tak wszystko zrobił, jak trzeba!... Zobacysz, na nas wszystkich kara spadnie za twoje bluźnierstwo... Bogu wymówki, — aj, — aj, — aj, — aj!...

Delikatny rumieniec oblał bladą twarzyczkę chłopca do samych włosów.

— Mamele! — odezwał się łagodnie, — ty się nie bój... czy to ja taki głupi, żebym Bogu wymówki dawał, albo Mu tam coś wyrzucił? Wcale nie!... Ja nie poto, — jaby poprostu tak chciał Go rozpytać, dla siebie, — żeby tylko wiedzieć...

— No, tak, ty wszystko musisz wiedzieć, co Bóg Sobie myśli!... A dlaczego ty nie wiesz, chłopcze nieszczęśliwy, że każdy Żyd powinien ciągle Bogu dziękować za wszystko, co Bóg urządził według woli Swojej?! A ty co?... Ty pójdiesz Mu tłumaczyć, co jest dobre, a co złe, ty Mu będziesz egzamin robił?... Oj, biednaż moja głowa!

Chłopczyna podszedł do matki, poważny, skupiony, obydwie chude rączyny złożył na jej dłoni i, patrząc jej w oczy z żarliwą prośbą w smutnem spojrzeniu, powiedział z przekonaniem głębokiem:

— Mamele!... Ty się nie bój!... Nie przejmuj się, mamele! Ja Go przecież nie będę pytał, jak prostak jaki grubjański, po co On wszystko tak źle urządził, — ja przecież wiem, że z Bogiem tak nie można, jak ze zwyczajnym człowiekiem... Ja Go tylko zapytam, mamele, — bardzo uprzejmie zapytam: czy nie można było urządzić inaczej?!...

SPIS RZECZY.

Z chlebem do głodnych	5
Żydówka	11
Dzień wyroku	21
Żarty	31
Lejbele	41

INSTYTUT
BADAŃ LUDZKICH I PAŃ
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 7
Tel. 26-68-63



Drukarnia „POSPIESZNA”
Kraków, Pl. Dominikański 1,
<http://rcin.org.pl>

